

GŁOS WYBRZEŻA

A
Targ Drzewny Nr 3/7
80-958 Gdańsk
wydanie

204 - - - 30-08-83
Nr z dn.

W ostatnią sobotę w gdyńskim Teatrze Muzycznym odbyła się premiera sztuki Stefana Friedmanna „Jonasza Kofty, z muzyką Jacka Mikuły w reżyserii Jerzego Gruzy pt. „Fachowcy”. Z tej okazji przeprowadziliśmy rozmowę ze współautorem sztuki, Jonaszem Koftą.

— Jaki był początek tego utworu?

— Obecni „Fachowcy”, to permutacja „Dialogów na cztery nogi”, radiowego słuchowiska autorstwa Friedmanna i Kofty, nadawanego w trzecim programie Polskiego Radia, w ITR — „Ilustrowanym Tygodniku Rozrywki”, później — „Ilustrowanym Magazynie Autorów”. Reżyserem był Jerzy Markuszewski, redaktorem Jacek Janczarski, a w skład kolegium wchodził Adam Kreczmar, Jan Stanisławski, Stefan Friedmann i Jonasz Kofta.

Odkryliśmy ze Stefanem Friedmannem pewną istotną zasadę, która u nas uległa zapomnieniu. Tę mianowicie, iż rozmowa sama dla siebie może stanowić sztukę, i to sztukę o wyjątkowo komicznym lub — heroikomicznym. Czyli — wyważyliśmy kolejny raz „otwarte drzwi”. A zrodziła się ta koncepcja z naszej we-

wnętrznej potrzeby i głębokiego przekonania, że rozmowa jako taka może stać się głównym bohaterem.

Wspaniale się tym bawiliśmy, mimo iż straszono nas, że jesteśmy jakoby szalenie elitarni. Wtedy to właśnie triumfowała koncepcja tzw. szarego widza, w tym wypadku — szarego słuchacza. A bazowało to na przekonaniu niektórych, że ten „szary widz” jest znacznie głupszy od od tych, co go wymyślili. Myślny na tę koncepcję nie przystali. Boć przecież dla ludzi głupszych od siebie nie warto pisać.

Założyliśmy, że nasz słuchacz jest co najmniej tak samo dowcipny jak my, co najmniej tak samo wykształcony i inteligentny. Okazało się, że było to założenie absolutnie słuszne, jako że szybko się sprawdziło. Potem zaś doszliśmy do wniosku, że trzeba zmienić — formę. Postacie naszych sztuk zostały usytuowane w miejscu, czasie i przestrzeni.

Ta druga mutacja „Dialogów na cztery nogi” — to „Fachowcy”, czyli majster i docent. Obie te formy obroniły się przed czasem. Ostatnia emisa „Fachowców”, odbyła się w roku 1976 w trzecim pro-

gramie Polskiego Radia. Reżyserował Jerzy Markuszewski, w roli majstra wystąpił Stefan Friedmann, docenta — Jonasz Kofta.

— Właśnie! Dlaczego nie so baczylimy pana na scenie w wybrzeżowej premierze?

— To nie takie proste. Aktorstwo — to już inny fach! Ja gram jedną tylko rolę. Ta

— Bo to też nie jest mój fach. Jeśli się coś umie, wcale to nie oznacza, że uprawianie tego jest moim zawodem. Gdyby ktoś mnie zapytał, jaki jest mój zawód, trudno by mi było na takie pytanie odpowiedzieć. Mogłbym mówić najwyżej o kondycji, o pewnym przysposobieniu do takich, a nie innych życiowych poczy-

rzeczywistość”, która jest jednocześnie kpina z naszego losu, to uważam, że lata, w których prowadziliśmy tę zabawę nie były stracone. Nie mamy sobie ze Stefanem nic do wyrzucenia, byliśmy sumiennymi apikami pewnego kawałka historii. To dla humorysty jest więcej, niż mógłby kiedykolwiek oczekiwać.

— Dla mnie — spektakl jako całość. Forma w tym wypadku jest jednocześnie treścią. Rozdzielności między tymi dwiema jakościami nie było i być nie może.

— Jest to trochę witkiewiczowskie...

— Z Witkacym więcej mnie łączy, niż dzieli. Jestem jego młodszym kolegą. Mogę się z

minut, lecz — z sekund. Jest to zresztą przejaw tendencji, że wszystko jest zmierzalne.

Jest faktem, że czas niewątpliwie zgęstniał. Nasza epoka wymaga od artystów umieszczenia większej liczby informacji w mniejszej przestrzeni czasowej. Utwory, które nie spełniają tego wymogu, odbieramy jako zwyczajne nudziars two. (Mówię oczywiście o technikach audiowizualnych, jak film, teatr, telewizja).

Dlatego też teatr muzyczny, który kojarzy w sposób emocjonalny to, co zawarte zarówno w słowach, jak i w dźwięku muzycznym — stał się jak gdyby bardziej „pojemny informacyjnie”. Zresztą żyjemy w czasach, w których niejednokrotnie nie da się wszystkiego wypowiedzieć, zaśpiewać natomiast — da się wszystko. Uważam, że śpiew jest co najmniej tak samo istotny, ma ten sam walor, co słowo, mowa, że wyzwala nas z dosłowności, wyzwala z codzienności.

— W swoim malowaniu sięga pan często do motywów morskich. Czym to się tłumaczy?

— To chyba proste. Malarza zawsze interesuje światło, przestrzeń, kolor, proste elementy materii. A gdzież to

wszystko objawia się w sposób wyrazistszy, niż w pejzażu morskim, gdzie spotykają się te żywioły? Morze, słońce, drzewa, będę malować przez całe życie.

— Jak widzi pan w przyszłości swą dalszą współpracę z gdyńskim Teatrem Muzycznym?

— Nie umawiam się na współpracę z instytucjami, tylko — z ludźmi. Z Jerzym Gruzą będę pracował zawsze z największą satysfakcją, ponieważ jest to znakomity artysta i rzetelny zawodowiec. Nie jest to tylko mój pogląd.

— Co znajduje się obecnie na pańskim warsztacie?

— Myślę teraz o wystawie swego malarstwa, muszę parę rzeczy domalować, przygotować całość. „Czytelnik” wyda duży tom moich utworów rozproszonych które muszę obecnie zebrać, przysposobić dla wydawcy. A z „zaszłości” — jeszcze trzy sztuki „rozbrańne”, niektóre od trzech lat. Mam też ochotę napisać parę nowych rzeczy. Coś napisać i coś namalować. Ale to już jest moja „słodka tajemnica” i taką niech pozostanie.

Rozmawiał:
TADEUSZ RAFAŁOWSKI

Wyzwalać z dosłowności

O „Fachowcach” mówi Jonasz Kofta

rola, to — Jonasz Kofta. To jest rola w sztuce, którą bez przerwy pisze, którą pisze życie, pisze los. I dlatego uważam, że słusznie jest aktorstwo zostawić fachowcom, więc — aktorom.

— Wiem, że jest pan utalentowanym artystą plastykiem, że w galerii „Zapiecek” na warszawskiej Starówce będzie w jesieni wystawa pańskich obrazów. Więc pytanie: dlaczego nie dał pan gdyńskim „Fachowcom” swojej scenografii?

nań. Jestem może poetą i malarzem. Humor, śpiew, konferansjerka są mi niejako przydane, jako wartości formy, którą tworzę. To nie jest jednak moja osobista wartość.

Mam potrzebę widzenia formy, jako całości. Dla mnie dobry utwór to taki, w którym incydenty, fenomeny sumują się w pewną całość. Uważam też, że sztuka nie powinna nas złościć, tylko — uspokajać. Krótko mówiąc, jeśli z „Fachowców” wynika jakaś „nad-

Chciałbym dodać na marginesie, iż linia, która ludzi dzieli jest przede wszystkim — po czucie humoru. Bo zakłada ono relatywizm, ironię w odniesieniu do siebie i innych. Powiedziałbym tak: człowiek który się śmieje, jest moim bratem.

— Czy można powiedzieć, iż „Fachowcom” nadał pan formę nieco kabaretową?

— Nawet na pewno.
— Co jest w „Fachowcach” najistotniejsze?

nim co najwyżej klócić.
— Jak widzi pan współczesny teatr muzyczny?

— Teatru muzycznego nie widzę w sensie odrębnego gatunku. Takiego gatunku po prostu — nie ma. Oczywiście — jest do pokonania pewna bariera warsztatowa — myślę o wykonawcach. Nasza epoka coraz gęściej gospodaruje czasem. Techniki, filmowa i telewizyjna spowodowały, że jesteśmy coraz bardziej zmuszani do wyliczania się, już nie z